

PAUza

Akademicka



Rok IX

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 363

Kraków, 15 grudnia 2016

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

O NCN nieco subiektywnie

MICHAŁ KAROŃSKI

W tych dniach upływa sześciolatek mojego uczestnictwa w procesie tworzenia NCN oraz kierowania pracami Rady Centrum. Przyjmując zaproszenie Pana Profesora Andrzeja Białasa do napisania tekstu zawierającego moje refleksje o działalności Narodowego Centrum Nauki, wiedziałem, że będzie to dla mnie spore wyzwanie. Nie jest więc moim zamiarem podsumowanie dokonań Rady NCN. To nie ma być też w żadnej mierze tekst „okolicznościowy”. Raczej subiektywne, bardzo osobiste spojrzenie na przebytą drogę, na to, jakie cele przyświecały Radzie i mnie samemu, gdy na przełomie 2010 i 2011 roku rozpoczęliśmy budowę NCN, wyposażeni jedynie w Ustawę, mając wsparcie tylko garstki nowo zatrudnionych pracowników biura. Te kilka pierwszych miesięcy naszej pracy można zapewne porównać do okresu z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy powstawał Komitet Badań Naukowych. Towarzyszący twórcom KBN-u entuzjazm znalazłem jedynie z przekazu (byłem członkiem „ostatniego” KBN-u). Od początku uważałem, że etos NCN powinien odwoływać się do KBN-owskiej tradycji odpowiedzialności samych uczonych za kształt systemu grantowego i jego funkcjonowania. Mówiłem o tym podczas oficjalnego otwarcia NCN-u w marcu 2011 roku. W porównaniu z twórcami KBN-u i jego pierwszym przewodniczącym, Profesorem Witoldem Karczewskim, mieliśmy jednak zadanie nieco łatwiejsze. KBN był bowiem tworem łączącym funkcje agencji grantowej z funkcją czysto polityczną – pełnił rolę swego rodzaju ministerstwa nauki. Autorzy wyjątkowo udanej, w mojej ocenie, ustawy o NCN szczęśliwie odseparowali NCN od zadań o charakterze „politycznym”. Stworzyli równocześnie gwarancje samodzielnego kształtowania przez Radę nowego systemu grantowego, rozdziału środków, oceny wniosków, wyboru ekspertów itp. Ustawowa struktura NCN, w tym ustanowienie dwóch odrębnych organów: Rady podejmującej decyzje merytoryczne i Dyrektora, zarządzającego biurem i reprezentującym NCN na zewnątrz, narzuciła swego rodzaju system „check and balance”, regulujący współdziałanie dwóch żywiołów: „naukowego” i „biurokratycznego”. Uważam, że to rozwiązanie, wzorowane w dużym stopniu na ERC,

mimo pewnych „zacięć”, a nawet zdarzających się po drodze konfliktów, stanowi prawdziwy fundament naszej młodej instytucji i w przyszłości nie powinien on być naruszany. Innym istotnym czynnikiem w budowie NCN było zerwanie z tradycją bezpośredniego wyboru członków Rady przez środowisko naukowe i ograniczenie jego roli do zgłaszania kandydatów. Powierzenie Zespołowi Identyfikującemu, powoływanemu na czteroletni okres przez Ministra, zadania zawężenia listy kandydatów do dwóch osób na każde „miejsce”, spośród których Minister wybiera członków Rady, w dużym stopniu się sprawdziło. Wybrana w ten sposób Rada jest w mniejszym stopniu skłonna do reprezentowania partykularnych interesów środowiskowych, niż gdyby pochodziła z bezpośrednich wyborów. Od samego początku starałem się zresztą wzmocnić wśród członków Rady przekonanie, że bardziej od „klanowej przynależności” liczy się „wspólnotowe” działanie, będące sumą naszych indywidualnych doświadczeń jako badaczy i wychowawców młodego pokolenia. Na marginesie uważam, że korzystne byłoby dalsze wzmocnienie funkcji Zespołu Identyfikującego poprzez bardziej precyzyjne zdefiniowanie roli czynnika politycznego w procesie wyboru nowych członków Rady. Sądzę również, że warto w przyszłości ograniczyć zbyt dużą rotację członków Rady. Mam tu na myśli wprowadzenie zasady wymiany co dwa lata jednej trzeciej, zamiast obecnie obowiązującej zasady wymiany połowy 24 – osobowego składu Rady.

Poruszone wyżej sprawy mogą wydawać się mało istotne, wręcz o jedynie techniczno-organizacyjnym charakterze. Myślę jednak, że to właśnie one determinują granice niezależności Rady, zarówno od wpływu środowiskowych grup nacisku, jak i od ingerencji politycznej. Tak rozumiana niezależność, podparta pełną transparentnością ocen projektów, otwartym rozliczaniem się z osiągniętych efektów realizacji grantów oraz wysokimi wymaganiami etycznymi wobec członków Rady, jak i ekspertów zasiadających w panelach, służyły jednemu celowi: budowie zaufania środowiska naukowego do naszej instytucji. Bez tego zaufania i przekonania uczonych, że są

► w systemie grantowym traktowani fair, że na decyzje o finansowaniu projektu nie mają wpływu czynniki pozamerytoryczne, żaden system grantowy nie może funkcjonować. O takie zaufanie przez te pierwsze sześć lat pracy NCN z uporem walczyliśmy. Czy w pełni osiągnęliśmy ten cel? Zapewne nie. Mieliśmy i mamy potknięcia. Zdarzają się wciąż przypadki krzywdzących ocen, niekompetencji ekspertów i recenzentów, oraz zbędnego formalizmu biurokratycznych procedur (w wielu przypadkach generowanych zresztą przez obowiązujące nas przepisy i regulacje ustawowe). Z goryczą stwierdzam, że na początku naszej działalności musieliśmy się również zmierzyć z przypadkami ingerencji koterii środowiskowych. Zawsze jednak staraliśmy się na takie działania reagować, wsłuchiwać się w głosy krytyczne i szybko korygować błędy. Mogę więc żartobliwie stwierdzić, że jak na prawie 65 tysięcy wniosków, jakie „przetrawił” NCN, przy zresztą bardzo niskim, bo średnio 20% stopniu sukcesu, liczba niezadowolonych jest znacznie mniejsza od (statystycznej) wartości oczekiwanej.

Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, co sprawiło mi największą satysfakcję z pracy w Radzie, to odpowiedziałbym, że jest nim stworzenie przez NCN zaczynu głębszych reform, jakie powinny nastąpić w funkcjonowaniu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce. Przez ostatnie sześć lat NCN był praktycznie jedyną instytucją w tym obszarze, która konsekwentnie wprowadzała zmiany wzorowane na rozwiązaniach praktykowanych od dawna w systemach krajów zachodnich. Staraliśmy się w Radzie skonstruować system grantowy, kompatybilny z systemem ERC, otwarty na rozwój młodych badaczy, łamiący zhierarchizowany system zależności utrwalanych od lat w środowisku akademickim. Liczył i liczy się dla nas nie tyle stopień czy tytuł naukowy osoby wnioskującej o finansowanie projektu, ile jakość jej dorobku naukowego oraz wartość merytoryczna projektu, oceniana na tle innych projektów w danym konkursie. Konsekwentnie dążyliśmy do wspomagania procesu szybkiego usamodzielniania się młodych uczonych, umożliwiając im, szczególnie w naukach eksperymentalnych, budowę własnych zespołów badawczych. Granty kilkumilionowej wysokości, finansujące nie tylko same badania, ale przede wszystkim stypendia podoktorskie czy doktoranckie uczestników projektu, to obecnie norma, a nie wyjątek. Z ogromną satysfakcją oglądam na stronie internetowej NCN długie listy ogłoszeń o konkursach na stanowiska badawcze w naszych grantach.

Od początku działania Rady postawiliśmy sobie również za cel zwiększenie mobilności, szczególnie młodych uczonych, ogromnego i dotychczas nierozwiązanego problemu nauki w Polsce. Wiedząc, że wymaga to głębokich zmian systemowych, znacznie wykraczających poza możliwości naszej instytucji, staraliśmy się konstruować granty wspierające, czy wręcz wymuszające mobilność. Stworzyliśmy również możliwość zatrudnienia się kierownika projektu na etacie finansowanym przez NCN, w przypadku realizacji jego projektu w innej jednostce niż ta, w której był zatrudniony. Ostatnio podjęliśmy też kroki

na rzecz obniżania przez uczelnie o połowę pensum dydaktycznego beneficjentów naszych grantów, rozpoczynających karierę naukową.

Okoliczności, w jakich piszę ten tekst, sprawiają, że łatwiej mówić o tym, co z naszych zamierzeń zdołaliśmy zrealizować, a trudniej o słabych stronach naszej pracy. Na przykład o tym, że zbyt długo w NCN trwał proces rozliczania zakończonych projektów, spowodowany zresztą głównie chroniczną niewydolnością naszego wsparcia informacyjnego przez OPI. Obecnie wychodzimy na prostą. Jest to o tyle ważne, że wreszcie będziemy mogli zrealizować nasze podstawowe zamierzenie, zgodne z postulatami wielu środowisk, jakim jest informowanie o tym, jakie badania i z jakim rezultatem NCN finansuje. W najbliższych dniach udostępnimy na naszych stronach internetowych bazę danych o finansowanych projektach. Co najważniejsze, opinia publiczna będzie mogła zapoznać się z takimi elementami raportów z zakończonych badań, jak popularnonaukowy opis uzyskanych wyników, lista prac opublikowanych, przyjętych i oddanych do druku, a w nieodległej przyszłości również lista zakupionej aparatury z grantu. To w jakimś sensie „domknie” proces tworzenia systemu grantowego, nad jakim pracowaliśmy przez ostatnie sześć lat. Rada w nowej kadencji będzie musiała się zmierzyć z zadaniem ulepszenia jednego z najważniejszych elementów tego systemu, jakim jest wybór ekspertów i recenzentów oceniających wnioski grantowe. O ile, moim zdaniem, sam system oceny, wzorowany na ERC, sprawdził się i nie powinien być zmieniany (a zwłaszcza nie powinien dryfować w kierunku randomizacji decyzji), to sam proces wyboru ekspertów przez Radę, we współdziałaniu z koordynatorami dyscyplin, wymaga poprawy i „uzbrojenia” w odpowiednie narzędzia analityczne i weryfikacyjne. Chodzi tu o profilowanie ekspertów pracujących w panelach oraz zewnętrznych recenzentów, z punktu widzenia ich rzetelności i fachowości w opiniowaniu wniosków, w tym „kalibrację” przygotowywanych przez nich ocen w relacji do końcowych ocen panelu itp. Jestem przekonany, że merytoryczny nadzór nad realizacją tego zadania powinien być priorytetem dla Rady w nowej kadencji.

Na zakończenie proszę mi wybaczyć, że nadużyję cierpliwości Czytelników i dołączę kilka słów w tonie bardzo osobistym. Praca nad tworzeniem NCN była dla mnie w jakimś sensie przygodą życia u schyłku kariery akademickiej. Możliwość współpracy ze znakomitymi uczonymi, moimi Koleżankami i Kolegami z Rady oraz kolejnymi Dyrektorami, dała mi wiele osobistej satysfakcji, dużo mnie nauczyła i, co dla mnie szczególnie ważne, zaowocowała przyjaźniami, za które jestem ogromnie wdzięczny. Jestem też niezmiernie dumny z młodej, fantastycznej „załogi” NCN, mającej największy wpływ na tworzenie pozytywnego wizerunku NCN. Myślę tu o kluczowym dla nas zespole koordynatorów dyscyplin bo bez nich nie byłibyśmy w tym miejscu, w którym jesteśmy, oraz o niezwykle zaangażowanej i profesjonalnej grupie pracowników poszczególnych działów administracji NCN. Wszystkim bardzo ciepło i serdecznie dziękuję. Będę Wam kibicował!

MICHAŁ KAROŃSKI

Głos do dyskusji o rankingu polskich uczelni

Z ciekawością czytam dyskusje o rankingach polskich uczelni i pomysłach, jak je poprawić. Po przeczytaniu artykułu ABBY i poprzedzającego go artykułu prof. Andrzeja Kisielewicza chciałem podzielić się moimi uwagami na ten temat.

Według rankingu szanghajskiego moja uczelnia zajmuje pozycję 201–300. Myślę, że do jej osiągnięcia znacząco przyczyniła się Nagroda Nobla z chemii dla prof. Johna Fenna w roku 2002, ale też publikacje w *Nature* i *Science*; większość z zakresu nauk medyczno-biologicznych. Według tego samego rankingu, ale tylko wśród amerykańskich uniwersytetów (national universities), mamy pozycję 72–98, która jest prawie dwukrotnie lepsza niż w rankingu *US News and World Report*, który plasuje nas na miejscu 164. Ten przykład obrazuje, jak bardzo rankingi się różnią.

Generalnie słaba pozycja polskich uczelni w rankingach jest, moim zdaniem, w dużym stopniu wynikiem ich organizacji. Dla przykładu, w ramach mojej uczelni funkcjonuje 20 szkół, kształcących w takich dziedzinach, jak humanistyka i nauki podstawowe (odpowiednik polskiego uniwersytetu; zawsze największa na każdej uczelni), inżynieria, biznes, edukacja, pielęgniarstwo, sztuka (notabene najlepsza w Stanach w zakresie rzeźby), oraz medycyna. Ta ostatnia przynosi ok. 60–70% wszystkich grantów (mierzone w dolarach), a także najwięcej prestiżowych publikacji; podobna sytuacja jest na wszystkich amerykańskich uczelniach, które mają szkoły medyczne. W poniższych uwagach ważne jest to, że wszystkie uczelnie, na których pracowałem, a mianowicie *University of Toledo*, *University of Colorado Denver*, jak i ta obecna, połączyły się z wcześniej zupełnie odrębnymi szkołami medycznymi i ogromnie na tym zyskały.

W Polsce niestety istnieje podział na uniwersytety, szkoły techniczne, medyczne, pedagogiczne, ekonomiczne i tak dalej. Dlatego należałoby jak najszybciej połączyć (przynajmniej) uniwersytety z akademiami medycznymi w miastach takich, jak Poznań, Łódź, Lublin, Gdańsk, Wrocław i Warszawa, w celu stworzenia znacznie mocniejszych uczelni, które w wyniku takiej konsolidacji podniosłyby swoje rankingi. Uniwersytet Jagielloński jest tutaj szczęśliwym wyjątkiem, jako że ma w swojej strukturze *Collegium Medicum*, co bezsprzecznie pomaga mu być jednym z najlepiej ocenianych polskich uniwersytetów.

Rektorzy, którzy chcieliby być „rewolucyjni”, mogliby połączyć uczelnie techniczne z akademiami medycznymi z następujących powodów. Po pierwsze dlatego, że nowoczesna medycyna coraz bardziej jest zależna od nowych technologii i szkoły medyczne, zdając sobie sprawę, że same (tzn. ich pracownicy, a więc lekarze, biolodzy, chemicy, etc.) nie są w stanie rozwiązać trudnych problemów bez systemowego do nich podejścia (systems engineering), bioinformatyki itd., coraz ściślej współpracują ze szkołami inżynierskimi; tak jest na mojej uczelni. Po drugie, jakieś dwa lata temu została stworzona pierwsza w świecie szkoła medyczna, *Carle Illinois College of Medicine*, w której lekarze są kształceni zarówno w przedmiotach typowych dla szkół medycznych, jak i w przedmiotach z zakresu inżynierii; absolwentem będzie lekarz z inżynierskim podejściem do rozwiązywania problemów.

Tutaj dygresja: kilkanaście lat temu zasugerowałem moim prominentnym kolegom połączenie AGH z Politechniką Krakowską, aby stworzyć jedną z najlepszych, nie tylko w Polsce, ale i na świecie, uczelni technicznych; koledzy zapewne myśleli to samo, bo próba ich połączenia została podjęta, choć w końcu nic z tego nie wyszło. Warto by to kiedyś wreszcie zrobić.

Wracając do rankingów, to ciągle pojawiają się nowe. Ten zrobiony ostatnio przez *The Economist* patrzy na wartość monetarną otrzymanych studiów. Podstawowym kryterium jest różnica pomiędzy spodziewanymi zarobkami studenta kończącego czteroletnie studia a medianą zarobków, które studenci otrzymują. W tym rankingu w pierwszej dwudziestce z tych najsłynniejszych jest tylko Harvard. Na pierwszym miejscu jest *Washington and Lee University* z Wirginii, a np. Yale wypada w nim bardzo źle (gorzej niż moja uczelnia). Zarobki po ukończeniu studiów są ważnym kryterium w USA, gdzie zdecydowana większość studentów musi brać pożyczki, a także pracować, aby zapłacić za swoje studia.

Uważam, że zamiast próbować poprawić ranking szanghajski, na co szanse w ocenie prof. Kisielewicza są bliskie zeru, lepiej skoncentrować się na jakimś „miejscowym” rankingu i go poprawić. W naszym przypadku postanowiliśmy, że jest to *US News and World Report*, i mój wydział opracował plan działania, jak go polepszyć do roku 2025; chodzi nam o ranking szkół inżynierskich, a nie całego uniwersytetu. W polskim przypadku mogłoby to być np. *THE World University Rankings*. Robienie nowego polskiego rankingu byłoby bardzo kosztowne, a poza tym ten rynek jest już zbyt „załoczony” (dużo zasobnych firm robi to od dawna), aby można było liczyć na sukces.

Ale co można zrobić, i to od zaraz, aby choć trochę poprawić ranking polskich uczelni? Jestem przekonany, że najłatwiejsze byłoby umożliwienie publikowania naukowcom z USA i innych krajów z afiliacją polskich uczelni. Aby to się polskim uczelniom „liczyło”, rozumiem, że musiałyby ich traktować jako swoich pracowników. Rozwiązaniem byłaby ustawa, zgodnie z którą minimalnym wymogiem, niezbędnym do spełnienia, aby zostać uznanym za pracownika, byłoby wygłoszenie o roku seminarium bądź serii 2–3 podczas jednego pobytu; uczelnie mogłyby pokrywać koszty ich pobytu. Z własnego podwórka: na moim uniwersytecie jest około 10 profesorów polskiego pochodzenia, w tym kilku lekarzy, i wiem, że wszyscy byliby chętni podawać jako swoją drugą afiliację jakąś polską uczelnię. Oczywiście nie znam sytuacji na wszystkich amerykańskich uniwersytetach, ale podobnie było, jeśli chodzi o pracowników polsko-amerykańskich na moich, poprzednio wymienionych uczelniach. A jak zidentyfikować w całych Stanach Zjednoczonych ludzi, którzy byliby potencjalnie chętni w ten sposób pomóc polskim uczelniom? Dobrym źródłem, gotowym do natychmiastowego wykorzystania, jest lista stworzona przez *Kościuszko Foundation* <http://www.thekf.org/kf/programs/eminentscientists/>, na której figurują „Polacy” prawie ze wszystkich amerykańskich uniwersytetów.

Mówi się, że Polak potrafi, ale czy polski biurokrata też potrafi (szybko łączyć uczelnie, wprowadzać nowe ustawy)?

KRZYSZTOF J. CIOS

Virginia Commonwealth University
Richmond, USA

Jak ryby z saka...

W rozważaniach o miejscu polskich uczelni w światowych rankingach powtarza się nawoływanie do tworzenia wielkich organizacji poprzez łączenie istniejących obecnie uniwersytetów „przymiotnikowych” w uczelnie bardziej uniwersalne. Mówił o tym Premier Gowin, pisał o tym Profesor Wróblewski, a w dzisiejszym numerze to samo sugeruje Profesor Cios. To oczywiście naturalna reakcja na strukturę rankingów, które wyraźnie preferują wskaźniki ekstensywne.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że taka procedura powinna przynosić same korzyści. Nie tylko podnosi pozycję uczelni w rankingach, ale jeszcze dodatkowo może wywołać efekt skali, redukując koszty utrzymania instytucji.

Tymczasem, z jakiegoś powodu, proponowane fuzje spotykają się z dużym oporem, a w każdym razie nie widać specjalnego entuzjazmu do ich realizacji. Krakowski przykład połączenia Uniwersytetu Jagiellońskiego z Akademią Medyczną pozostaje jednym z nielicznych wyjątków.

Proponenci tworzenia wielkich uczelni zazwyczaj przypisują ten opór środowiska tradycjonalizmowi, niechęci do redukcji liczby „gronostajów”, wreszcie obronie partykularnych interesów. Zapewne czynniki te grają pewną rolę – trudno jednak zakładać, że tak błahe okoliczności mogą być decydujące w tak istotnej sprawie i przeważać ewidentny interes całego środowiska uczelnianego. Myślę więc, że przyczyn należy szukać głębiej.

Od wielu już lat nie pracuję na uczelni, więc moje uwagi należy traktować ze zrozumiałym sceptycyzmem i ostrożnością. Niemniej odważam się postawić hipotezę, że najważniejszym, źródłem polskich obaw przed tworzeniem uczelni-molochów jest bardzo niski poziom zarządzania z jakim DZISIAJ mamy do czynienia w większości uczelni. Narzekania na to są powszechne i przenikają łatwo przez uczelniane mury. A ponieważ nie ulega wątpliwości, że trudności w zarządzaniu rosną wraz z wielkością zarządzanej instytucji, trudno się dziwić, że perspektywa fuzji może wywołać prawdziwą panikę wśród pracowników.

Wiele jest przyczyn niskiego poziomu zarządzania na naszych uczelniach, a ja z pewnością nie jestem wystarczająco kompetentny, aby je analizować. Z punktu widzenia laika wyróżniłbym jednak dwie. Pierwsza: narzucona przez ustawę wadliwa struktura kierowania uczelniami, gdzie np. rektor odpowiada – przynajmniej teoretycznie – za wszystko. W rezultacie powstaje tendencja do jednoosobowego kontrolowania wielu spraw (w końcu nikt nie chce być oskarżony o „niegospodarność” albo

o „niewystarczającą dbałość o interesy instytucji”), co oczywiście prowadzi do nieszczęścia. W dodatku nie ulega wątpliwości, że narastająca w Polsce atmosfera podejrzliwości i braku zaufania będzie tę tendencję nasilać. Jest jednak jeszcze druga istotna przyczyna: podczas wyborów władz uczelni kryterium umiejętności zarządzania wielką instytucją, jeżeli w ogóle jest brane pod uwagę, to co najwyżej marginalnie.

Jestem daleki od tego, żeby optować za oddaniem władzy na polskich uniwersytetach w ręce sprawnych menadżerów – wręcz przeciwnie. Niemniej czuję, że jakąś elementarną wiedzę w dziedzinie zarządzania kandydat na rektora winien posiadać. Zupełnie natomiast nie wiem, jak można by to zrealizować w obecnym systemie powoływania władz. I myślę, że właśnie ten problem generuje w środowiskach uczelnianych największe obawy przed tworzeniem „molochów”.

Jeżeli więc Resort faktycznie pragnie przeprowadzić łączenie uczelni w większe jednostki, musi zacząć od takich zmian w ustawie o szkołach wyższych, które przynajmniej osłabią tę przeszkodę. Inaczej albo nic z tego nie będzie i wtedy „wybiorą nas jak ryby z saka”, jak niegdyś powiadał Pan Zagłoba, albo – jeżeli fuzje zostaną po prostu wymuszone – wpadniemy w jeszcze większe tarapaty, i to pomimo ewentualnego podniesienia pozycji w rankingach.

ABBA



Wielkie ryby pożerające małe ryby, Pieter van der Heyden według Pietera Bruegela Starszego, miedzioryt, 1557, źródło: PAUart

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków – warto wiedzieć

Henryk Sienkiewicz – mniej znany

Gościem najbliższej Kawiarni Naukowej PAU będzie Halina Florkowska-Frančić, historyk, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się dziejami ruchów migracyjnych w XIX i XX w. oraz środowisk emigracyjnych i polonijnych, zwłaszcza w Europie Zachodniej, a także ich kontaktami z wychodźstwem zarobkowym w Ameryce. Jej ostatnio wydana książka to „Die Freiheit ist eine grosse Sache”. *Aktivitäten polnischer Patrioten in der Schweiz während des Ersten Weltkriegs* (Schwabe Verlag, Basel 2014). Obecnie pracuje nad historią Szwajcarii. Jest m.in. członkiem Komisji PAU do Badań Diaspory Polskiej.



Prof. Halina Florkowska-Frančić

władze różnych szczebli oraz miejscowa ludność. W 1970 r. przebywałam na rocznym stypendium na Uniwersytecie w Genewie. Wybór Genewy wynikał z faktu, że Uniwersytet Jagielloński miał wówczas umowę o wymianie bezpośredniej. Mogłam więc przebadać tę dokumentację dotyczącą poszczególnych osób i na jej podstawie, uzupełnionej oczywiście o inne źródła, napisać moją rozprawę doktorską, która pokazywała tę zbiorowość powstańców uchodźców politycznych – przez Szwajcarię przeszło łącznie 2150 powstańców.

– Tematem Pani pracy habilitacyjnej była działalność Agatona Gillera po Powstaniu Styczniowym... Skąd zainteresowanie tą postacią?

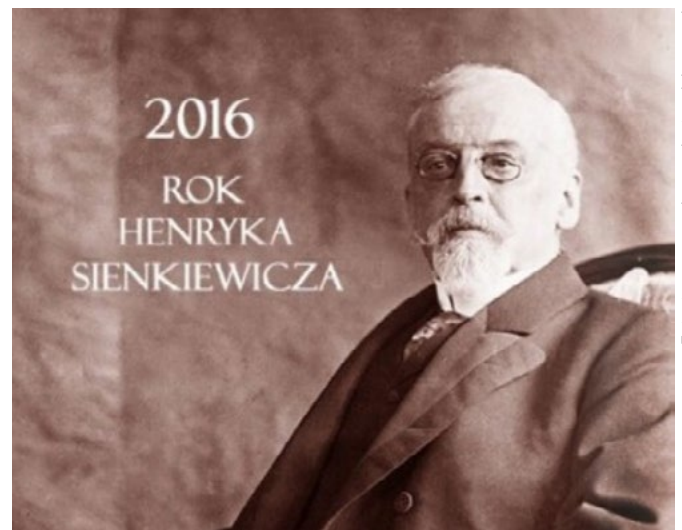
– Moja rozprawa habilitacyjna była poniekąd ciągiem dalszym pracy nad emigracją po klęsce Powstania 1863/64 r. Na jej temat wybrałam Agatona Gillera (1831–1887), zesłańca w latach 50. XIX w., a potem członka Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym. Zdecydowałam się na „biografię cząstkową”, odnoszącą się do jego działań na emigracji w latach 1864–1879 w Zurychu i w Paryżu oraz w okresie 1878–1884 w Muzeum Polskim w szwajcarskim Rapperswilu. Wybrałam ten temat, gdyż, po pierwsze, był on słabo rozpoznany w historiografii. A po wtóre, napisanie całościowej biografii bohatera nie było wówczas wykonalne, ponieważ dostęp do materiałów archiwalnych był niemożliwy, przy czym chodzi zarówno o dokumenty odnoszące się do okresu zesłania na Syberii, jak i do jego pobytu w Galicji (archiwa

lwowskie). Nie udało mi się tam pojechać ani w latach 70. ani 80. Natomiast ujęcie „biografii pretekstowej” (przedstawienie b. szerokiego kontekstu działań bohatera) dało możliwość spojrzenia na postycziową emigrację z różnych perspektyw, np. stosunku emigrantów politycznych w Europie do wychodźstwa za chlebem do Ameryki. Giller bowiem należał do „ojców założycieli” Związku Narodowego Polskiego, jednej z dwóch największych i dotąd istniejących organizacji Polonii amerykańskiej. To doprowadziło mnie później do przesłania innych związków emigrantów politycznych w Europie i emigrantów zarobkowych w USA aż do czasu I wojny światowej.

– Kolejnym etapem Pani prac badawczych stała się I wojna światowa.

– W tym przypadku skoncentrowałam się również na działaniach Polaków na terenie Szwajcarii. Było to oczywiście już kolejne pokolenie politycznych uchodźców. Polacy, pochodzący z różnych zaborów i należący do różnych orientacji politycznych, szybko dostrzegli, że na terenie neutralnego kraju, położonego między walczącymi blokami mocarstw, można będzie bez przeszkód prowadzić różne przedsięwzięcia na rzecz szeroko rozumianej sprawy polskiej. I dlatego na terenie Konfederacji ulokowali organizacje, które koordynowały działalność organizacji polskich i propolskich na całym świecie. Należały do nich prace w różnych obszarach. W działalności charytatywnej najważniejszy był Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, który pod kierownictwem Henryka Sienkiewicza prowadził wielką akcję, zbierając fundusze na całym świecie i przesyłając pomoc na ziemię polską, wyniszczaną przez przesuwające się fronty.

Poświęciłam tym sprawom dwie książki i kilkanaście artykułów, po zbadaniu nie tylko archiwaliów zachowanych w zbiorach polskich i w Szwajcarii, ale także w Paryżu oraz w Wiedniu. Tu pomogło mi m.in. stypendium Fundacji z Brzezia Lanckorońskich.



Fot. stowarzyszenie.wspolnotapolska.org.pl

Kawiarnia Naukowa Polskiej Akademii Umiejętności zaprasza na spotkanie 19 grudnia br. (poniedziałek) o godz. 18.15 do Dużej Sali Akademii przy ul. Sławkowskiej 17 w Krakowie. Prof. Halina Florkowska-Frančić przedstawi wykład pod tytułem *Henryk Sienkiewicz – mniej znany*.

MARIAN NOWY